



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

EDWARD JELINEK.

Smutną wiadomością zakończył felietonista „Bluszcza” ostatnią swoją pogawędkę. W sile wieku, w czterdziestym drugim roku życia, zmarł w Złotej Pradze serdeczny druh Polaków i niepospolity znawca stosunków naszych, uczony i publicysta czeski, św. p. Edward Jelinek. Społeczeństwo polskie straciło w nim jednego z najlepszych i najszczerzych, a całkiem bezinteresownych przyjaciół, pismo nasze życzliwego współpracownika, który je przez lat wiele listami swemi zasiliał.

W epoce zatargów i walk plemiennych, w epoce wybujałości szowinizmów rasowych, gdy dosyć jest częstokroć nie należeć do danego społeczeństwa, aby z łona jego ściągnąć na głowę swoją kamienie potępienia, a z ust sline, zatrutą jadem nienawiści i wzgardy, jednostki niezwykle, w rodzaju św. p. Edwarda Jelinka, zdolne do wzniesienia się ponad ciasny widnokrąg spraw i interesów najbliższych i umiłowania jednym potężnym uczuciem dwóch narodów bratnich, byłyby niewątpliwie zjawiskiem pocieszającym niezmiernie, pozwalającym w przyszłość patrzeć z wiarą niezłomną w tryumf lepszych instynktów ludzkości, gdyby, niestety, nie należały dotychczas do tak rzadkich, wyjątków. Dzisiaj w każdym razie, są one, jak się ktoś trafnie wyraził, „aniołami i prorokami pojednania i braterstwa...” Praca ich życia, mająca na celu wykorzenienie

wzajemnych uprzedzeń i niechęci narodowych i zbliżenie pomiędzy sobą różnych gałęzi plemiennych, które z pnia wspólnego wyrosły, może na razie zostać niedocenioną lub nawet tłamaczoną fałszywie, niemniej jednak w przyszłości mieć będzie niewątpliwie znaczenie nader doniosłe.

Edward Jelinek był człowiekiem szlachetnego serca, dużej energii, niezmiernie pracowitego i niezwykle zarazem skromności. Ludzie tacy życiorysy swoje czynami piszą zazwyczaj, szczegółów biograficznych w zwykłym tego słowa znaczeniu niewiele po nich zostaje. To też i o Jeliniku wiemy tylko, że urodził się w Pradze w r. 1855 i pierwsze lata życia spędził na łonie czeskiej rodziny mieszczańskiej, w której panowały obyczaje i język niemiecki. Dziad jego był jednak podobno przyjacielem słynnego Franciszka Palackiego. Z drugiej strony wiadomo, że młodziutki Edward, przejawsz się w szkołach duchem patriotyzmu czeskiego, który wśród młodzieży budzić się wówczas zaczął, chciał kiedyś zrobić niespodziankę przyjemną jednemu z członków rodziny i w dniu jego imienin wystąpił z wierszowanym powinszowaniem w języku czeskim. Za ledwie jednak deklamować zaczął po czesku, oburzony solenizant wyrzucił za drzwi malca, który się osmielił przemówić do niego w tem barbarzyńskim narzeczu. Szczegół ten, noszący zresztą charakter anegdotyczny, świadczy w każdym razie, że nie najbliższe otoczenie domowe, ale raczej wpływy późniejsze przygotowały w duszy Jelinka grunt, z którego wyrósł następnie jego patriotyzm i pożyteczna, pełna zasług cichych działalność, mająca na celu zbliżenie do siebie zachodnich i południowych narodów słowiańskich, spokrewnionych pod względem etnicznym i kulturalnym.

Pod wpływem idei powyższej, Jelinek wcześniej badać zaczął różne ludy słowiańskie i zapoznawać się z ich językami. W osiemnastym ro-

ku życia znał język polski doskonale, a wielcy arcy mistrze słowa naszego wywarli na wyobraźnię szlachetnego entuzjasty wpływ duży. Chcąc bliżej poznać nasz kraj, wybrał się w podróż po Galicji, zwiedził Kraków, Zakopane, a następnie w szeregu wycieczek Warszawę, w której gościł kilkakrotnie, Litwę, Ukrainę, Kaszubów. Poznanie kraju i stosunków naszych wzmocniło złote nici sympatii, które publicysta czeski nawiązał z nami od wczesnej młodości. Wrażeniami doznanymi dzielił się ze społeczeństwem swoim, ogłaszając w pismach czeskich lub w osobnych książeczkach pełne świeżości i powabu obrazki, jakoto: „Zarysy kozackie,” „Zarysy litewskie,” „Dumy ukraińskie,” „Zarysy słowiańskie,” „Zarysy Warszawy,” „Rzut oka na Litwę” i innych wiele.

Interesując się żywo społeczeństwem naszym i narodem wogóle, zwrócił uwagę szczególną na kobietę polską, jej rolę w dziejach naszych i stanowisko w życiu dzisiejszem. Przedmiotowi temu poświęcił nawet dwie prace interesujące, a mianowicie obszerną rozprawę p. t. „Polskie panie i dziewice,” wydaną w r. 1884, a w parę lat później studjum historyczno-obejzajowe o damach dawnych salonów polskich (*Damy starsich salonu polskich*). W pierwszym z tych dzieł uwzględnione zostało i stanowisko kobiety polskiej w literaturze.

Chcąc ułatwić rodakom poznanie języka polskiego, wydał Jelinek „Geldhaba,” Fredry z komentarzami, wstępem i słownikiem, a w parę lat później, w r. 1887, ogłosił broszurę polityczną, p. t. *Pro schodu cesko-polskom nekolik uwah*, w której dowodził z zapalem potrzeby zbliżenia się wzajemnego dwóch narodów pokrewnych. Niedosyć na tem. Pragnąc, aby to zbliżenie się i poznanie było wedle możliwości obustronnem, niezmiernie działacz społeczny rozpoczął pisywać korespondencye i artykuły do różnych czasopism polskich, zaznajamiając tym sposobem

społeczeństwo nasze z rzeczami czeskiemi. Na uwagę zasługują zwłaszcza jego „Listy o wystawie czeskiej,” wydane w r. 1891 w osobnej odbitce, oraz „Listy o rzeczach morawskich.” Przedtem jeszcze, na samym początku zawodu publicystycznego, rozpoczął Jelinek pracę nad „Bibliografią dzieł, rozpraw i artykułów polskich, dotyczących rzeczy czeskich,” wydawaną stopniowo przez krakowską Akademię Umiejętności i doprowadzoną do roku 1886.

Stając przed ogromem pracy, dokonanej przez Jelineka dla dwóch społeczeństw bratnich, uwierzyć trudno, że pracy tej poświęcał on tylko chwile wolne od obowiązkowych zajęć w magistracie miasta Pragi i w biurze statystycznym, których się podjąć musiał dla chleba. Mimo wszystko, miał on czas jeszcze na prowadzenie przez lat kilka (od r. 1882 do 1887) pisma w języku czeskim p. t. „Slovansky Sbornik,” którego był redaktorem, i na branie udziału w wielu innych wydawnictwach i pracach, nie spuszczać przytem ani na chwilę z oka głównego celu życia, który mu przyświecał, jak gwiazda promienna.

Polityką w ściślejszem tego słowa znaczeniu nie zajmował się prawie Jelinek i nie brał udziału w walce stronnictw, która, niby pożar niszczący, wybuchła w czasach ostatnich w łonie społeczeństwa czeskiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że walki i niesnaski domowe wsączyły niejedną kroplę goryczy do czary niezmordowanego pracownika, który marzył przecież o zbliżeniu i jedności wszystkich Słowian zachodnich... „Z naszego życia nie mam nic przyjemnego do doniesienia, — pisał niedawno do jednego ze swych polskich przyjaciół, — walka stronnictw politycznych i literackich rozhułała się na dobre. Nawet w literaturze (rozumie się, że nie na całej linii) zawładł ton niesłychanie brutalny. Dziś pisze się w tonie, jak nie pisało się nigdy. Niesmaczne napaści i zniewagi są na porządku dziennym.” (Patrz artykuł p. Jana Karłowicza w Nr 13-ym „Głosu”).

To też i zdrowie Jelineka psuć się w ostatnich czasach zaczęło. W wycieczkach swoich kierować się musiał nie do ukochanych krain słowiańskich, ale na południe, nad jezior włoskich wybrzeża, pod niebo słonecznej Italii, która jednak nie mogła już powrócić działaczowi niestrudzonemu sił, wyczerpanych przedwcześnie. W jednej z wycieczek takich zwiedził Jelinek ogrody willi Varese, opisane następnie w korespondencyach do dzienników czeskich.

Mimo cierpień długotrwałych, śmierć wielkiego działacza społecznego była bolesną niespodzianką dla wszystkich i napełniła smutkiem wszystkie serca słowiańskie, zdolne jeszcze do uczuć wznioślejszych. Nietylko Czechy straciły w nim publicystę i uczonego, nietylko Królestwo Polskie przyjaciela dobrego, ale cała Słowiańszczyzna zachodnia żywy łącznik i pośrednik wrażliwego, gorącego rzecznika jedności i zgody między pojedynczymi członkami rozproszonej rodziny słowiańskiej. W charakterze Jelineka zespiliły się wszystkie zalety natury słowiańskiej, a przede wszystkim niezwykła uczynność, uprzejmość i gościnność dla pobratymców, którzy mieli szczęście zetknąć się z nim osobiście nad brzegiem szarej Mołdawy. „Nigdy nie zapomnę uradowania, jakie się na twarzy jego malowało, — pisał felietonista „Czasu,” p. Stanisław Tomkowicz, — gdy dwa lata temu, podczas etnograficznej wystawy czeskiej, znienacka pojawiłem się w jego biurze w Pradze. W jednej chwili zerwał się od stolika i odtąd był przez kilka dni nieodstępnym moim towarzyszem. Oprowadzał po wystawie, po mieście, ułatwiał znajomości z wybitnymi ludźmi, a nietylko ciceronował, lecz poczuwał się do obowiązku robienia honorów. Jako o największą grzeczność prosił, aby mu wolno było wziąć łożę do teatru i zapłacić fiakra...”

Przyjaźń Jelineka dla Polaków znalazła wyraz i w testamencie wielkiego działacza, w którym przekazał on bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie wszystkie książki czeskie swojego księgozbioru, oraz dzieła niemieckie, dotyczące rzeczy

słowiańskich. Wszelkie duplikaty, jakieby się w tym zbiorze znalazły, mają być, zgodnie z brzmieniem testamentu, przekazane bibliotece im. Ossolińskich we Lwowie.

Na pogrzebie Jelineka, który się odbył d. 18-go Marca w Pradze, byli obecni wszyscy członkowie miejscowej kolonii polskiej, oraz przedstawiciele „Ogniska polskiego” i „Koła polskiego.” W liczbie wieńców, które złożono na jego trumnie, były wieńce od „Koła polskiego,” „Ogniska,” „Klubu polskiego” w Pradze, od dyrekcji i artystów teatru krakowskiego, od artystów teatru lwowskiego i od wielu bardzo pism warszawskich. Nad grobem zmarłego przemówił najpierw po polsku prezes „Ogniska,” p. Florjański, składając hołd niespożytem zasługom nieboszczyka i zapewniając, że pamięć o nim nie zaginie wśród Polaków nigdy...

Wl. B.

FRAGMENT.

Dla N. R.

Dopóki jeszcze w twojej duszy niewinnej,
Jak gdyby pieśni nieprzebrzmiałej echem,
Błogo się szczebiot odzywa dziecinny,
Dopóty jeszcze niech Bóg dobroczynny
Dni twego życia osładza uśmiechem.

Lecz, kiedy poznasz niedole istnienia,
Czy w życiu własnem czy w braci twych losie,
Lecz, kiedy poznasz nietrwałość marzenia,
Którego zachód serce w grób zamienia—
O, wtedy ulgę odnajdziesz w łez rosie.

Dusza jest nasza jak lustro jeziora,
Co, choć się rankiem marszczy od zefiru—
Znow gładką falą toczy się z wieczora,
A tak młodości sielankowa pora
Długo nie pozna życiowego kiru.

Lecz, kiedy wichry zawieją jesienne—
W łonie swem niosąc miazmy tajemnicze:
Skalają kryształ w mroki bezpromienne,
W duszę cierpienia wleją bezimienne,
I łzami serce przetrawią dziewicze!

Obyś nie znała owych łez wewnętrznych,
Co serce krwawią niby furji szpony:
Obyś nie znała nocy bezmiesięcznych,
Co nad mogiłą naszych rojeń wdzięcznych
Brzmia nam jak głuchych rozczarowań dzwony.

Ach, tyle cierpień na tej biednej ziemi,
Od których serca boleją szlachetne,
Że nieraz w ogrom ich patrzymy niemi
I tak się przy nich czujem bezsilnemi,
Że łzy rónimy—łzy w czyny bezdzietne...

O, nie płacz, dziewczę,—taką łzą bezsilną,
Bo po nad pieśni—nad łzy—nad marzenia
Wyższą potęgą—i bardziej niemylną
Potęgą serca, co swą pracą pilną
Łzawę pragnienia nasze w czyny zmienia.

Ach, tyle pracy jest dla naszej głowy,
Ach, tyle pracy dla serca i dłoni,
Że żyć nie godzien, kto błahe łzy róni
I nie dostrzega, jak świt błyska nowy
Promiennem jutrem z tej dziejowej toni.

Nie, nam nie wolno nadziei utracać,
Nie wolno padać we łzach samolubnych,
Nam trzeba winy dawnych wieków spłacać,
Nam trzeba głębi przyszłych dni zbogacać
I rzucić puchy melancholii zgubnych.

Pragnienie życia ma uśmiech na czole,
Pragnienie szczęścia idzie w świat z pogodą;
Wiosna w uśmiechy zdobi gaj i pole,
Natura budzi w każdym swym żywiole
Uśmiech nadzieją promienisty młodą.

Więc idź, dziewczyno, przez życiowe sploty
Z okiem pogodnem, z uśmiechów rumieńcem:
Idź zawsze pełna tej słodkiej tęsknoty,
Co jutro zdobi w błysk nadziei złotej
I krzepi ducha pod cierniowym wieńcem,

A. Lange.

NA ZASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

IX.

Bocznemi drzwiami doszła Janina do swego pokoiku nie spotkawszy nikogo. Ale z dołu, dochodził ją gwar przygłuszony, zdradzając obecność licznego towarzystwa. Pora była obiadowa, wszyscy przy stole siedzieć musieli.

Janina przez służącą kazała oznajmić hrabinie że wróciła, i zajęła się porządkowaniem swego pokoiku zaniedbanego podczas jej choroby.

Dziś nie zejdzie na dół; jutro rano dopiero zacznie się jej męka, tem większa, że jak jej służąca opowiedziała, dużo osób przybyło, głośniejszy gwar na dole oznajmił, że obiad się skończył; wkrótce zapełniła się weranda, i słychać było głosy rozmawiających przed domem.

Janina ukryta za firanką spojrziała ciekawie, chcąc poznać te obce nieznane jej twarze, przed którymi stanąć miała jutro.

Dwóch panów, jeden starszy, poważny, drugi młody, i piękna pani, przechadzali się tam i napowrót, a nieco dalej, Roman stał na miejscu ogołoconem umyślnie z trawy, i doglądał jak służba przygotowywała *lawn tennis*. Potem, trzymając w dłoni siatkę i wywijając nią w powietrzu, zbliżył się do chodzących, gestykułując żywo.

W tej chwili po za Janiną drzwi się otwarły, i nagle objęły ją czyjeś ramiona w czułym uścisku.

— Janinko! najdroższa! — wołała Kamilla, witając ją jakby z dalekiej podróży.

Przygnębiające myśli, które opanowały Janinę od chwili gdy weszła na próg pałacu, pierchnęły nagle w obec tego powitania.

— Moja Kamilko... — szepnęła prawie ze łzami oddając jej pieszczoty.

— Jak wyglądasz? czyś już zdrowa? jak się tu dostałaś? czyś nie zmęczona? nie głodna? — posypały się zapytania jak grad, przerywane licznymi pocałunkami. — No! jesteś już nareszcie! Wiesz? słowo ci daję że przyszedłam do przekonania, że się już bez ciebie obejść nie mogę!

Zywa jak iskra, śmiejąca, objęła Janinę ramieniem i prowadziła ku kanapce, na którym obok niej usiadła.

— Brakowało ci nieznośnej Janiny? — pytała tymczasem sierota, przypominając sobie to, co myślała idąc tutaj o porzuceniu Zarnek.

Kamilla niecierpliwie rękami strzepnęła.
— Gdybyś wiedziała jak mnie nudzą te ciągłe zabawy! — zawołała — dobrze jest zerwać się, ale nie mieć rozrywki za cel życia, a oni tego pojąć nie umieją! Co się tu teraz dzieje! Nigdy jeszcze nie było nic podobnego. Za Natalią zjechała się młodzież, którą jej obecność przyciąga, przyjechała młoda mężatka nasza znajo-

— Bardzo ładniutka, ta protegowana pana,— rzekła.

Roman się poruszył niezadowolony.

— Nie proteguję nikogo!...— odrzekł zimno.

— W takim razie... wielka szkoda—dla niej,— odparła Natalia ze słodkim wyrazem, postanawiając sobie, że łagodnością zdobędzie zaufanie Romana.

— Dla czego?—zapytał nieufnie.

— Widać, że mojem zdaniem, protekcyja pana musi być wszechpotężna... — rzekła Natalia z uśmiechem i mrużąc oczy spojrzała zalotnie na niego.—Pragnęłabym—abyś pan przestał widzieć w każdym z moich słów żłośliwą aluzję...— dodała spuszczać oczy, z westchnieniem.

— Pani!... nigdy nie miałem zamiaru...

— Och! nie tłumacz się pan!...

Wstawano od stołu. Natalia ruchem zupełnie naturalnym wsunęła rękę pod ramię Romana.

— Chcesz pan przejść się ze mną?... — oh! nie długo!... — rzekła tonem, który także usiłował być naturalnym, z odzieniem smutku.

Roman odmówić nie mógł; niepodobna było dopuścić się niegrzeczności... ale w duchu mocno był niezadowolony. Z drzwi werandy, patrzyły na niego duże oczy Janiny, która wydawała mu się teraz blebsza niż przed chwilą...

Natalia tymczasem przechadzała się, ciągnąc go za sobą, swobodna, na pozór i wesola, prowadząc banalną rozmowę, do której musiał należeć...

Głos Kamilli, zapraszającej na kawę czarną, wydał się Romanowi zbawieniem; pośpieszył zaprowadzić swoją towarzyszkę na werandę i uwolnił się od niej.

Tymczasem i Janina już znikła w głębi domu.

— Wszędzie gdzie się ruszę,—mówiła prawie ze łzami, wszędzie ta sama historia... Majątek mój ich kusi!... Oto co znaczy, zostać w moim wieku bez mężkiej opieki!

— Z tego wynika,—odpowiadała pani Żarnowiecka żywcizliwie,—że trzeba raz wybór zrobić...

— Och! — zaprzeczyła żywo piękna pani,—zdaje mi się, że nie zrobię go nigdy... Nie mam najmniejszej ochoty zaprzęgać się na nowo w jarzmo... Czemu mnie w spokoju nie zostawia!

Przez resztę dnia, podczas partyi lawn tenisa i przechadzki, Roman nie odstępował na krok Kamilli, nie zbliżając się ani do Natalii ani do Janiny, która wprawdzie do zabaw nie należała, ale wieczorem znowu ukazała się między gośćmi.

Dopiero gdy Natalia odeszła do siebie na noc, Roman skorzystał z chwili, gdy Janina także udawała się na górę i przytrzymał ją we framudze drzwi, słowami:

— Jak się pani czuje? nie zmęczył panią ten pierwszy dzień pośród, ludzi—i obowiązków?...

Podniosła łagodne swoje oczy na niego.

— Dziękuję panu... nie jestem zmęczona.

— Jutro jadę do Wasilec...—rzekł—obawiam się, że pani będzie czynić bohaterskie wysiłki, aby opanować osłabienie...—dodał, jakby tknięty nagłą myślą, że podczas jego nieobecności, coś złego stać się, jej może.

Spojrzała znowu, ale tym razem nieco zdziwiona tak widoczną jego troskliwością.

— Jaki pan dobry... — rzekła głosem cichym... — Jestem zupełnie zdrowa i silna,—dodała,—dziękuję raz jeszcze i... dobranoc!

Skłoniła się i odbiegła, nie wyciągając ręki.

— Jaki dobry!... — szeptała sobie gdy znalazła się sama.—Och!... on mnie lubi... lubi! czuję to... — jak to miło gdy się jest lubioną...

Opanowała ją rzewność wielka i wdzięczność dla tego człowieka. Z myślą że on ją lubi, łatwiej jej było pełnić niewesołe swoje obowiązki.

Tak! niewesołe!... W obec pełnego gości domu, z których nikt prawie uwagi na nią nie zwracał, Janina czuła jeszcze silniej niż kiedykolwiek, jak smutny los przypaść jej w udziale...

A jednak!... postępowanie Romana było takie dziwne, niezrozumiałe dla niej!...

Lubił ją, czuła to, ale czy kochał Natalię?... Janina widziała ich dziś jak przechadzali się razem po obiedzie, zauważyła że Natalia bardzo serdecznie zdawała się nim zajmować, że szukała zawsze jego towarzystwa, ośmielając go niejako, a dlaczegoż on ją porzucił natychmiast, gdy

mógł i przystąpił do Kamilli? A potem, ta czułość dla niej... dla Janiny... Nie, stanowczo, ten człowiek był dla niej zagadką, interesującą bardzo, ale rozwiązaniem jej zajmować się nie mogła, bo brakło jej czasu.

Jak w wirze wodnym, w którym woda bulkoce, pieni się, a coraz nowe fale unoszą się i opadają, tak płynęły teraz dni w Żarnkach, pełne coraz to nowych twarzy i nieustannej zabawy.

Zapraszając się grzecznymi listami do hrabiny, od osób trzecich lub wprost od siebie, używając protekcyi pani Natalii, lub bez uprzedniego zawiadomienia, spadając nagle pod rozmaitemi pozorami, młodzież znajoma z zimy, z miasta przesuwała się, bawiąc krócej lub dłużej w gościnnym domu pani Żarnowieckiej.

Jasnym było dla każdego, że piękna pani jest powodem i przynętą tych wizyt. Niewiadomo jakim było postępowanie Natalii z tymi panami w mieście, ale faktem jest, że każdy wyglądał jakby pewny dobrego przyjęcia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI.

(KORRESPONDENCJA „BLUSZCZU“).

New-York, w Marcu.

Objęcie steru rządu przez Mac Kinleya odbyło się d. 4 Marca wśród wspaniałych uroczystości. Otoczony milicyą, w otwartym powozie, w towarzystwie swego poprzednika Clevelanda, udał się nowy prezydent Stanów Zjednoczonych na Kapitol — do „Białego domu.“ Na ulicach tłumy witały gromkim okrzykiem naczelnika kraju. Po przybyciu do rezydencji — cały orszak udał się do sali senatorskiej gdzie od swego poprzednika Mac Kinley odebrał urządowanie, poczem udał się na wschodnią terasę pałacu.

Tutaj w oczach licznych widzów, pocałował biblię, złożył uroczystą przysięgę na wierność amerykańskiemu ludowi. To samo uczynił nowy wice-prezydent Stanów Zjednoczonych, który równocześnie jest prezydentem senatu. Następnie Mac Kinley odczytał w obszernym wyciągu orędzie wydane z powodu objęcia prezydentury,—a czytał głosem silnym i doniosłym, który bynajmniej nie zdradzał niedawno przebytej choroby. Wtedy zagrział spizowy głos armat, witających nowego prezydenta. Na tem zakończył się właściwy ceremonial uroczystości.

Dla pokrzepienia sił udał się Mac Kinley na śniadanie, które spożył w towarzystwie Clevelanda, następnie przypatrywał się wspaniałemu pochodowi milicyi i stowarzyszeń cywilnych, które długim łańcuchem wijąc się po ulicach Waszyngtonu, defilowały przed nowym reprezentantem rządu.

Mac Kinley rzadzić będzie przy pomocy gabinetu, którego najstarszy członek liczy 74 lata, najmłodszy 50 wiosen życia.

— Czego może się spodziewać ludność od tej „rady starców?“ Na to pytanie odpowiada sam fakt, że nowi członkowie rządu są milionerami, których wyłącznym celem jest popieranie wielkiego kapitału.

Mówią zaś powszechnie, że Mac Kinley pozostaje pod wpływem kilku kapitalistów, którym zawdzięcza swój wybór. Nowy prezydent uważany jest za człowieka uczciwego, ożywionego dobrymi chęciami dla kraju. Czy jednak będzie mógł spełnić wyrażone przed wyborami przyrzeczenie, że jego dążnością będzie ochrona narodowej pracy, dobro całego narodu,—a nie wyłącznie pomysłność potentatów finansowych? To jest kwestya, która w danych warunkach nasuwa pewne wątpliwości, zwłaszcza, że mąż, na którego przed czterema laty ogromnie wszystkie stronnictwa liczyły, ustępuje pod prężaniem zarzutu, że przez popieranie „piersieni kapitalistycznych“ przyczynił się do zubożenia ludności.

Fama głosi, że Cleveland, gdy wchodził do „Białego Domu“ miał zaledwie pół miliona dolarów,—a teraz w czwornasób pomnożył majątek.

Zwolennicy b. prezydenta zapewniają, że to wzbogacenie się zawdzięcza on swemu przyjacielowi, który umiał zręcznie obracać pierwotnym kapitałem. Tym przyjacielem jest niejaki pan Benediç, dodajmy jeden z najgorliwszych członków „piersienia kapitalistycznego.“

Te pierścienie, znane zresztą i w starej waszej Europie—to prawdziwa plaga dla ludności. Kilku przemysłowców oczywiście wielkich kapitalistów, łączy się na to, aby wspólnymi siłami, godziwymi, czy niegodziwymi środkami wpływać na wysokość i jakość produkcji, i ustanowić dowolnie ceny. Oczywiście odczuwają to konsumenci—najbardziej jednak cierpią na tem robotnicy. Taki np. pierścień cukrowy w ciągu 10 lat odebrał ludności roboczej 97,040,000 dolarów pod postacią miejscowych zysków swoich uczestników! Normalny bowiem zysk powinien był wynosić 139,200,000 w rzeczywistości zaś „piersień“ rozdzielił 236,240,000 dolarów dywidendy. Przed utworzeniem pierścienia czysty zysk na jednym funcie cukru wynosił 0,58 centa, podczas jego istnienia podniósł się ten zarobek na jednym funcie do 1,30 centa.

Dalej, wskutek powyższej organizacji straciło 5,000 robotników, gdyż członkowie pierścienia uważali za właściwe zamknąć niektóre fabryki, w innych zaś zmniejszyć produkcję. W ten sposób trzy miliony dolarów za jednym zamachem odebrano ludowi.

Takim pierścieniem objęta jest cała produkcja krajowa. Najlepiej jednak zorganizowany jest „piersień gazowy“ w New Yorku. Za 1,000 stóp kub. gazu świetlnego płaci się tutaj dolara i dwadzieścia pięć centów, podczas, gdy produkcja powyższej ilości gazu kosztuje 45 centów. W ten sposób kapitał powiększa się znacznie, a lwia część zysków wpada do kieszeni potentatów finansowych, którzy kierują całą tą flotą napelnioną złotem. Organizacya tego pierścienia jest tak urządzona, że zaledwie drobna część zysków przypada drobnym kapitalistom; 90% zaś zabiera czterech lub pięciu akcyonaryusz, którzy skupili w swoich rękach większą część akcyi. W ten sposób wranie bankructwa drobnym akcyonaryusz traci cent na cencie—potentat finansowy zarabia jeszcze, gdyż już dawno włożony kapitał odebrał pod postacią dywidendy.

Przeciw tego rodzaju wyzyskowi—przeciw temu uciskowi, którego doznają biedni od bogatych—odzywa się oburzona opinia publiczna.

Jeszcze podczas wyborów na prezydenta demokratyczne dzienniki zapowiadały, że reprezentanci Stanu Kanzas na najbliższym kongresie mają postawić żądanie, aby do konstytucyi „Stanów Zjednoczonych“ dodano przepisy nakładające na nadzwyczajne bogactwa wielkie podatki. Istotnie żądanie to nie jest bez słuszności. Dzisiejszy bowiem system podatkowy jest niezmiernie uciążliwy dla klas biednych; ponieważ opiera się na opodatkowaniu przedmiotów najniezbędniejszych do życia. Chłop, drobnym przemysłowcem, robotnik, ojciec rodziny, który ma do wyżywienia pięcioro dzieci płaci akurat takie pogłównie, jak największy milioner. Tego rodzaju równość jest oczywiście sprzeczną z zasadami prawdziwej, demokratycznej równości.

Czy to lekarstwo wyleczy skutecznie? Trudno przesaǳać.

To pewna jednak, że jeżeli ono zawiedzie—znajdziemy inne, a chorobę wypędzimy.

Bo my tutaj poradzić sobie w danej potrzebie zawsze potrafimy.

Ot—świat cały narzeka, że kobieta, wychodząc za mąż, nie jest dostatecznie przygotowaną do spełniania zaszczytnych obowiązków żony, matki,—pani domu. I wy tam w starym świecie na to pono utyskujecie.

Ale na narzekaniu u was kończy się wszystko. Poradzić sobie nie umiecie.

A my od razu.

Będziemy mieli „szkołę dla młodych żon.“ Szkoła ta przeznaczona będzie dla młodych kobiet, które tylko co wyszły za mąż. Celem

jej—obznajomić wychowanki z obowiązkami żony, matki i gospodyni, dać jej szczegółowe wiadomości dotyczące higieny życia małżeńskiego,—rozszerzyć zakres jej wiadomości na polu gospodarstwa domowego, rachunkowości gospodarskiej i t. d.

Zakładający tę szkołę inicjatorowie wychodzili z tego zapatrywania, że średnie zakłady naukowe nie są w stanie dać młodej dziewczynie dostatecznego zasobu wiadomości gospodarskich nie są w stanie wyrobić w niej dokładnego pojęcia o obowiązkach żony i matki. Wychodzące za mąż młode dziewczyny, z małemi tylko wyjątkami, nie mają najmniejszego pojęcia o połączonych z małżeństwem poważnych obowiązkach.

Szkoła dla młodych kobiet ma właśnie na celu braki te w wykształceniu kobiecym zapelnąć: ma ona właściwie być „szkołą żon.“

Program jej obejmować ma, oprócz przedmiotów z zakresu gospodarstwa domowego i higieny życia małżeńskiego i naukę o obowiązkach żony względem męża, estetykę domowego ogniska i środki uczynienia męża szczęśliwym, sposoby przywiązania męża do rodziny, fizyczne i moralne wychowanie dzieci od chwili urodzenia, wiadomości dotyczące stosunku pań do służby domowej i t. d.

Panie, zapisujące się do szkoły, nie będą obowiązane uczyć się na wszystkie przedmioty, lecz będą mogły wybrać dla siebie najpotrzebniejsze. Stosownie do tego kurs trwa 8, 12 i 16 miesięcy. Takimi projektami zajęte są główki kobiet myślących poważnie. Są jednak amerykanki, które zajmują się mniej doniosłymi sprawami. Do nich należą zwolenniczki pani Campbell, która gorliwie przemawia w kwestyi palenia cygar i papierosów przez kobiety. Dla lady Campbell jest to naprawdę kwestya „pałaca.“

Lady Campbell traktuje więc tę sprawę wyłącznie ze stanowiska rodzaju żeńskiego. Już sama forma pytania daje nam poznać zapatrywanie pytającej i odpowiedź, jakiej możemy się spodziewać. Jej „czy wolno“ brzmi jak groźba, jak wyzwanie, jej znak zapytania ma formę ostrego haka, na którym można sobie palce poranić do krwi. Kto odważy się, zabronić kobietom palenia? Niech się taki mężczyzna odezwie, jeżeli ma odwagę!—pyta szanowna dama. Dla lady Campbell palenie jest jednym z tych licznych przywilejów ludzkości, do którego mężczyzna dotąd nie dopuszczał kobiety, przywilejem płci męskiej, nabytym bezprawnie, ukradzionym, zrabowanym. Czyż mamy cierpieć dłużej taką niesprawiedliwość? Tu chodzi o równouprawnienie kobiecego rodzaju. Jakto? kobiecie miałyby być wzbronione używanie tytoniu, tego „uniwersalnego środka na wszelkie cierpienia moralne?“ ten pocieszyciel ludzkości miałby zadowalać tylko mężczyzn?

Lady Campbell rezygnuje wspaniałomyślnie na rzecz mężczyzn z cygara i fajki, dla siebie i sióstr swych pozostawiając tylko wonne papierosy. Będą one dla kobiet lekarstwem na wszelkie krzywdy i dolegliwości, rozrywką w długich i samotnych godzinach, ba! nawet środkiem mającym jej dodać powabu i piękności. Jakże ładnie—mówi misstres—wygląda papieros w ustach kobiety! A kiedy ręka jej z papierosem w delikatnych palcach zatacza lekki łuk do ust, a potem znowu powraca na poręcz krzesła, jakże pełnym wdzięku jest ten ruch, jak podnosi urok kobiety, gdy „czoło jej opromieni poetyczna mgła dymu.“

Tyle angielska.

Dla słuszności jednak dodać tu musimy, że autorka angielska uważa ten urok tytoniowy tylko jako rzecz drugorzędą. Dla niej puszczanie dymu ma wyłącznie reformatorskie znaczenie. Zdaniem jej, mężczyzna uprawia tytuł tylko na znak swej wszechwładzy nad kobietą i zabronił kobiecie zrywać jego liście a kobieta jak nieodrodna córka Ewy odpowiada przekroczeniem tego złego. Rajską jabłoń znalazła nowożytny *pendant* w liściu tytoniowym. Z papierosem w ustach walczy kobieta o zrzucenie niewolniczych pęt, pali w imię emancypacji, pali w imię słusznych swych praw. Któżby się był

spodziewał, że ta odrobina tytoniu odziana w białą szatę niewinności stanie się w ręku kobiety bronią przeciw tysiącletnim bezprawiom męzkim.

Z mistress Campbell wobec tych wywodów trudno się sprzeczać. Płeć piękna ma prawo palić. To jednak niech nam wolno zauważyć, że kobieta raz zdobywszy tu prawa traci w istocie nieco ze swojej przewagi nad mężczyzną; w poetycznym zaś dymie tytoniowym niknie jej wyższość w towarzystwie—a może nawet cząstka dobrych obyczajów.

Kobietom palić wolno, nie wynika ztąd jednak, że palić muszą.

Gdy w ten sposób kobiety tutejsze zajęte są sprawą tytoniową, inne uprawiają sport. Pewna Amerykanka—dziennikarka wraz z wielu kolegami udowodniła, iż drogę, na której odbycie bohater romansu Vernego potrzebował 80 dni, można skutecznie obecnie w ciągu niespełna dni pięćdziesięciu.

Miss Londonderry założyła się w rodzinnem swem mieście Chicago, że odbędzie podróż dokoła świata na rowerze. Zobowiązała się przytem nie brać nic pieniędzy na drogę—choć pomysł to nie nowy, bo wpadł nań już przed kilku laty pewien amerykański dziennikarz; oprócz tego cyklistka przyrzekła podczas swej podróży nie zmieniać wcale odzieży. Wytrwała cyklistka stanęła w Bostonie. Z uwagi, że dla roweru nie wszystkie drogi są dostępne, odbyć na nim mogła „tylko“ 50 tysięcy kilometrów. W podróży swej brała udział w bardzo wielu wyscigach i dzięki wybitnym w tym kierunku zdolnościom zdołała zbierać z nagród pokazną sumkę 40 tysięcy franków. W uznaniu zasług przyznały jej amerykańskie kluby urzędowy tytuł „Lady-Champion.“ Francuz Ferdinand Ganescu miał sposobność rozmawiać w Japonii z miss Londonderry, która opowiedziała mu swoje wrażenia z podróży. O Paryżu cyklistka nie wiele dobrego miała do powiedzenia. Nie zapomni nigdy, że w mieście tem omal że nie skradziono jej ulubionego roweru. Niemalże też drażniła Amerykankę natrętna galanteria mężczyzn tamtejszych. Marsylia wynagrodziła jej jednak przykrości, których doznała w Paryżu.

W mieście tem znalazła mnóstwo ciekawych i podziwiających jej wytrwałość. Co więcej, mieszkańcy zamilowanego w sporcie miasta rozpisali składkę dla cyklistki i odjeżdżającej dali na drogę oprócz dobrych życzeń także sporo grosza. Wsiadłszy na okręt „Sidney“ wyładowała miss w Japonii. W czasie tej podróży spoczywał rower w kącie okrętu. Raz tylko zachciało się jej pokręcić nieco po pokładzie, co też uczyniła.

W Yokohamie spotkały turystkę same rozczarowania. Publiczność tamtejsza znudzona już była wszelkiego rodzaju widowiskami. Na kilka dni przedtem miała Yokohama w murach swoich dwóch oryginalnych turystów. Widziano tam buldoga, który na obroży przytwierdzonej miał tabliczkę z napisem tej treści: „Nazywam się Toby i otrzymałem od mego pana rozkaz odbycia podróży dokoła ziemi. Polecam się łaskawym względom.“ Oprócz tego podziwiano 10 letniego chłopca, który również odbywał podróż na około świata.

Nic nie wskórawszy amerykanka opuściła Japonię i udała się do San Francisco, a ztąd na rowerze do Chicago.

D. Z.

JULIUSZ ZEYER.

VERTUMNUS I POMONA.

Błądziłem od samego rana w albańskich górach, i było południe, gdym spoczął pod starymi drzewy, szumiącemi na miejscu, kędy niegdys

stało Tusculum. Ległem na trawie niedaleko wielkiego krzyża, który wznosi się tam, gdzie ongi *ars*, poświętna, tajemnicza twierdza prastarego tego miasta ku obłokom strzelała, wysoko nad domami mieszkańców, po których już ani pyłku nie zostało. Widok z tego miejsca jest czarujący, nie dziw tedy, że mi sobie ani na chwilę nie przypomniał wielomównego Cycerona, którego imię tak nierozzerwalnie z Tusculum się zrosło, lecz, gdy oczy błądziły wolno po tej rozległej w dole równinie, która niegdys zwała się Latium, pamięć moja grażyła się w toni owych rozbraskowych czasów, gdy Rzym, ten sam Rzym, który ztąd również oczom moim, jakby stos zabawek dla dzieci z pokolenia olbrzymów, w oddali widniał, jeszcze nie był założony, gdy świat o jego znaczeniu i istnieniu jeszcze nie wiedział, gdy na pustym Pałatynie spokojnie owce się pały, a na Janikulu pradąbrowy jeszcze szumiały, równie tajemniczo, jak w tej chwili drzewa nad dawno pogrzebionem szeleściły Tusculum. To stare Latium! Zdało mi się, że wyrasta przed memi oczami, Alba Longa lśniła jeszcze, biała, kędyś za lasem, nad modrem jeziorem i spoglądała dumnie w dół na równinę, kędy Tyber się przewija. Praeneste, siedziba Fortuny, tajemniczej przeznaczeń bogini, piętrzyło się jeszcze wyniosłe na skale, mniemając, że nikt na świecie mocy jego pokonać nie zdoła. Czarowna Arycya, święta kultura czystej Dyany, w słuchiwała się, u drogi do morza wiodącej, w szepty bukowych swych gajów, a na ostatnim występie gór Sabińskich, których korona jest po dziś w niezmienionej krasie zarys Soraktu, kapalo się w blaskach słonecznych nietykalne, poświętno miasto Tybur, owiane szumami swych wodospadów, szelestami swych lasków cienistych i tajemniczymi, wieszczymi wołaniami Sybilli Albunei, mieszkającej ponad przepaścią, z której rozbrzyźnięte wody kaskad kadzidelnie parowały ku jej stolicy, stojącej pod drzewami, wśród których wiatry swobodnie przeciągały, ptaki migwały, a które nocą gwiazd i miesiąca promienie w zawój mistycznej otulały światłości.

Ta stara latoryńska kraina, zielona, cicha, niektknięta kultura Greków i Etrusków, niezdeptana brutalnym, zwyciężkim krokiem rzymskich kohort, o jakże zdała mi się czarująca! Promień złotego wieku Saturna drgał nad jej niwami, gdzie rolnicy spokojnie pługi swe ciągnęli, i nad łąkami, kędy lud pasterski stada swe pasł w wyborze rzek srebrnych, z których nie piły jeszcze konie legij cesarskich. Bóstwami tych prostych ludzi były głównie: Faunus czyli Przyjazy, Matka ziemia, oraz Pales, bóg czy bogini łąk i pastwisk. Bóg czy bogini! Ta niewyraźność bóstw, ta nieplastyczność mitologii starych szczepów italskich, zdała mi się, gdym rozmyślał na miejscu znikniętego Tusculum, mieć coś pokrewnego z pojęciami Słowian starożytnych. Jak ci, tak i oni rozumieli tak doskonale, głęboko i prosto bezpośrednią mowę przyrody, wyraz twarzy matki ziemi i rzeczy wogóle. Ponieważ wszystko tak wprost do nich mówiło, nie czuli koniecznej potrzeby symbolów, i dla tego nie przybierało u nich bóstwo, które im było *technieniem* wszystkości, tak wyraźnie uczłowieczonej postaci, jak u pozostałych szczepów aryjskich, u których bogatsza rozwinęła się mitologia. Tu inwencya poetycka była szczęśliwsza, tam wszakże sposób pojmowania, acz prostszy, o wiele był głębszy i religijniejszy, mistyczniejszy a więc prawdy bliższy. Słoneczna, wonna cisza lasu i widok rozległy w bezgraniczną dal wywarły na mnie, gdym tak dumał, czar jakiś niezwykle, marzący. Było mi nagle, jak gdybym patrzył, słuchał i pojmował okiem, uchem i duszą tych dawnych ludzi. Zapomniałem na chwilę mimo woli o nowożytności swego człowieczeństwa, o wszystkich nauczonych i nabytych pojęciach, o wszystkim, co we mnie wkładała moja epoka. Zapatrzyłem się z dziwnym wzruszeniem w te niezrozumiałe naokół rzeczy, w skały, drzewa, równiny, w niebo i wzgórza, zupełnie bez przyjętych pojęć, zupełnie bez oddziaływania idei potocznych, i bez żadnych również wpływów wrażliwości artystycznej.

I nagle zdało mi się, że słyszę po raz pierwszy ten właściwy głos drzew szumiących, to właściwe wołanie ptaków, ten właściwy szept źródelka w trawie! Jak to wszystko żyło i oddychało, jak to wszystko zrozumiałe mówiło! Na przeswitujących w słońcu koronach drzew drgał prawdziwy uśmiech. Długa gałąź dębu zakotyssała się, i ptak jakiś z niej odleciał. Był to dzieciół, posłyszałem po chwili, jak w pień kołatał. Dzieciół, ten tajemniczy ptak, co ukrytych, pradawnych podań i wieszczb ze starych skał i drzew omszonych się dowiaduje, i który dla tego stał się symbolem poświętnym w starożytnym kraju latyńskim!

— Picus! — rzekłem do siebie mimowoli, i wspominałem jednocześnie, że to może gdzieś tu w tych lasach, gdzie właśnie spoczywałem, Cyrce owego nieszczęsnego króla w ptaka, który z nim jedno ma imię, zmieniła czy zakłęła, jak się w naszych baśniach powiada. Ale stara ta opowieść była dla mnie w tej chwili poprostu rzeczywistym zdarzeniem — i oto co za cud! Zaledwie-m imię to wymówił, drgnął cały gaj naokół jakby wzruszony i w zielonych jego cieniach mignęło błyskawicą tysiąc mglistych postaci, a szara baśń, staruszka w płaszczu z obłoków i gwiazd, przeleciała na koniu ze złotymi skrzydłami przez dębów wierzchołki i znikła w lazurze. Ze wszystkich stron, jak wiew ogromny nagle zbudzonego wiatru, szemrały, śpiewały, szeptały, wołały głosy, głosy starych bóstw i duchów, głosy, które ongi wychodziły z głębi borów, z łona skał, z mroku jaskiń, z toni wód, a które wiatr nasłuchującym przynosił ludziom. Zdało mi się, że słyszę śmiech faunów i wabne szepty leśnych panien, które u starych Latynów vires, virae się zwały, tak podobnie dźwiękiem do wil słowiańskich! Jak wietrzyk zerwie się i ścichnie, tak zerwała się i ścichła ta dziwna, widmowa, lecz mimo to miła głosów harmonia, i milczenie zaległo znów głębokie. Ale czar nie skończył się bynajmniej. Przeciwnie, mocniej działał niż przedtem, bo nagle uczułem całkiem wyraźnie „obecność czegoś“ tuż koło siebie, tak, że podniosłem oczy. Ujrzałem o dwa kroki od siebie młodego męża, chłopca zdumiewającej piękności. Patrzył na mnie. Uśmiech na jego twarzy był jako uśmiech lasu, pełny blasków południowej chwili; niewypowiedzianie słodki czar młodości bił mu z czoła, a misteryum wieczności sniło w jego oczach, jasnych jak woda, w którą słońce świeci. Miał wieniec z bluszczu na głowie. Ciało jego, prawie nagie, miało przejrzystość połótkłego marmuru. Był jak którybądź z posągów młodzieńczego Bachusa w muzeum watykańskim albo w willi Borghese.

Nie zdumiał mnie ani on, ani braki jego odzieży; tu, w tym lesie w górach albańskich, człowiek dziwi się raczej, jeśli nie spotka którego z tych starych, straconych, a jednak nieśmiertelnych bogów. Sceptycznie wszakże przypomniałem sobie jeszcze w czas, że bogowie ci właściwie nigdy nie istnieli.

— Jesteś widmo, — rzekłem tedy. — Albo może posąg? Snadź rzymski Liber, albo grecki Bachus?

Z ust jego wyszło coś jak powiew, jak promień.

— Jestem bajka, — rzekł.

— Słyszysz mnie, mówisz, odpowiadasz, żyjesz tedy, a jednak sam mówisz, że jesteś bajką tylko. Jak to pogodzić z rozumem?

— A, cóżes ty? — wionęło znów z ust jego. — Myślisz, mówisz, rozumujesz, a jesteś przecie również snem tylko!

— Snem? — powtórzyłem za nim. — Tylko snem?

I rzecz dziwna, naprzód sceptycyzm mój, a potem całe to moje ziemskie istnienie opadać ze mnie poczęły niby ciężar, i po chwili uczułem, że jedno z temi blaskami słońca w drzew koronach, z tym szmerem liści. Niewypowiedzianie słodka jakaś senność objęła mię — i było mi błogo!

— Powiedz, — rzekłem, — kto, czy co śni tedy to moje istnienie, to moje ja? Czyim tedy jestem snem?

— Czyż ja wiem? — odpowiedział. — Zapewne tego, czyim snem jest też moje istnienie, albo istnienie tych drzew oto. Jesteś bajką, jak ja, jak wszystko.

I jasne, zagadkowe jego oczy patrzyły na mnie i zmieniały się w okamgnieniu, jak powierzchnia jeziora, nad którą to chmura przeleci rzucająca cień, to promień zadrga złoty, która to zmarszczy się, to znów łśni nieruchoma i cicha. I cała piękna jego postać zaczęła też przedziwnie się zmieniać: chwilę był jakby błyskiem świetlnym, potem znów niby kwiatem ogromnym, teraz jakby kupką gwiazd zbierających się wzlecieć ku niebu. Zdumiony wyciągnąłem rękę ku tej zagadce, nierozsądnie chciałem go zatrzymać. Jako ludzie — zawsze chętnie ku prawdzie, jako dzieci — ku księżycowi wyciągamy ręce. Ale umknął mi, jak błędny ogień, leśny ten sen, a wesół śmiech trysnął ze wszystkich drzew i krzewów. Wnet wszakże potem siedział znowu piękny młodzian, w pierwszej swojej postaci, o trzy kroki ode mnie i rzekł z promiennym uśmiechem:

— Mnie zatrzymać? Szaleńcze! Spróbuj zatrzymać swoje własne ja, które przecież zdaje ci się tak blizkiem. Zobaczysz, że, gonisz za mgłą!

Zadrżałem. W mgnieniu jednym ujrzałem całe swe życie przed sobą, i wydało mi się, z całą swoją obludą, niemożliwym zmysleniem! Co tedy jest prawdą, pewną prawdą, jeżeli nawet własne istnienie złudzeniem jest jeno? Byłżeby cały świat tylko bajką? Czyliż niema żadnej rzeczywistości? Nie władał więc snadź ani ten stary Rzym, teraz tam w dole, w Kampanii, biało w słońcu łśniący, nigdy nad światem? Byłoby to wszystko także tylko bajką, jak owa o czerwonej czapeczce? Zdało się, że piękny młodzian myśli moje czytał, bo zaśmiał się i rzekł:

— Bajką jak bajką. Ta o Tusculum i o Cyceronie jest równie mało prawdziwa, jak owa o mnie, albo, jeśli chcesz, ta o mnie jest również prawdziwa, jak owa o Rzymie. Wybieraj.

— Rzym, Cycero, — rzekłem, — mieli przynajmniej imię. A ty?

— Ja też, — rzekł. — Vertumnus.

— Vertumnus? O, tak. Pamiętam twoje imię, ale bajkę o tobie nie bardzo. Opowiedz mi ją, dobrze?

Dziwne drgnienie przebiegło znów las cały, i podczas gdy oczy moje daleko tam w dole po modrawej błędziły równinie, która niegdyś Latium się zwała, przybierały gędziebny szelest drzew, i ciche szmery traw, i dźwięczny szebiot ptaków, i śpiewne pluskanie ukrytego strumyka — dźwięk i zrozumiałość mowy ludzkiej, i wszystkie te różne brzmienia spływały w coś, jak gdyby w marzący, jedyny głos, który czarownie, słodko wionął z ust tego przede mną leśnego zjawiska i miłym rytmem w nasłuchującą duszę moją przenikał. I com w górskiej samotni tej albańskiej krainy wówczas usłyszał, powtarzam teraz tutaj w odosobnieniu mego południa czeskiego. Opowiadał mi tak tedy Vertumnus:

Za czasów, gdy król Prokas panował nad Latium, dawno, dawno przed założeniem Rzymu, urodziłem się na wiosnę w lasach szumiących z jeziorem, w którym się Alba Longa zwierciadliła.

Matka moja była śmiertelna, ale ojciec był jednym z leśnych duchów, towarzyszących zawsze bogu Faunowi przez ciemne zamroczca i słoneczne poręby borów. Matka moja, prosta pastuska, zanosła mię do poświętnego gaju, który na tych szumiących kresach, gdzie Latium z Etrurią graniczyło. Gaj ten, przez który pędził bogaty potok zimnej, przezroczyściej wody, był poświęcony Sylwanowi. Był bardzo mroczny, a nad nim piętrzyły się wzgórza, porośnięte gęstym lasem iglastym, w którym wilki wyły. Matka położyła mię na wielkim złomie skalnym, który zbożni pątnicy rzeźbiście olejem świętym na

chwale bogów leśnych zlewali, i jeła wołać do Sylwana, prosząc go, aby się nade mną zmiłował. Ojciec, duch leśny, ruchliwy jak wiatr w drzew koronach, był matkę dawno przed mem na świat przyjsciem opuścił. Po modlitwie, ofiarowała matka moja baranka, skropiła mię łzami rzeźsście jej z oczu padającymi i szybko odeszła. Skutkiem nadśmiertelnego swego pochodzenia miałem od pierwszego dnia po urodzeniu pojętność, której zwykle noworodkom ludzkim brakuje, wiedziałem tedy, co się ze mną dzieje. Ale, jako dziecko pochodzące z pokolenia ludzi, byłem jednak zupełnie bezradny i niezdolny do czynów. Jako prawe dziecko, zacząłem tedy płakać i kwilić. Nagle ze wszech stron ozwały się dzikie nawoływania, zgraja lekkoogich faunów wysypała się z krzewów, i matka moja, która z dali jeszcze oglądała się ku mnie, jeła uciekać szalenie. Pod starym cyprysem wszakże, oceniającym głaz, na którym leżałem, zjawił się sam Sylwanus, starzec z rozwianymi włosami, przepłcionymi potężnym wieńcem z młodych latorośli. Podpierał się smukłym, z korzeniami z ziemi wyrwanym świerkiem, a krok jego dudnił na mchu. Ze strachu przestałem płakać, ale cała moja bojaźń znikła, gdy się pochylił nade mną. Oczy jego świeciły młodzieńczo i były pełne dobroci, a uśmiech miał miły, jak wonie leśne, dobry i ciepły jako promień słoneczny. Pocałował mnie w czoło i oddał faunom, aby się mną tak troskliwie opiekowali, jako on sam wątlami opiekuje się drzewinami, o które zaczyna się troszczyć, jak tylko z brunatnego łona matki ziemi na światło się wynurzą. Faunowie schwytali w borze łanię, to była moja mamka. W nocy wszakże wziął mię Sylwanus, gdy niebo pełne było białych gwiazd, i rzucił do ogromnego ognia. W straszliwych boleściach straciłem świadomość; gdem wszakże do niej wrócił, leżałem bez bólu w chłodnych mchach, świecących od rosy, przy blaskach gwiazd, które już bladły. Sylwanus wziął mnie na ręce, ukołysał i rzekł:

— Cała ciężkość, która czyni człowieka podobnym glinie, temu pokrewnemu mu żywiołowi, spadła teraz z ciebie, przy błogosławieństwach mych, w ogniu poświętnym. Wolnyś od więzów materji, i jesteś teraz jako jeden z nas. Jesteśmy tchnieniem przebiegającym wiecznie wszystką materję, nadajacem jej znaczenie i treść prawą. Jesteśmy wiecznie ci sami, acz bierzemy na się postacie wszystkie, i we wszystkich postaciach, we wszystkich kształtach, we wszystkich czasach jesteśmy wiecznie tem jedynym, co jest. Jesteśmy wiecznym prądem, wiecznym ruchem, wieczną zmianą, a przecież jesteśmy w tej wiecznej zmianie wiecznie niezmienni. Bez nas materja byłaby wiecznie bezwładna. Co czyni światło świecącym? To my. Co śpiewa w wodach? To my. Co płynie, co gore, co kwitnie, co dojrzewa — to my. Słowem: życie to my. — Bądź tedy jednym z nas. Miej dar zmieniania się wiecznego wedle upodobania w kształty wszelakie. Z tym oto pocałunkiem odbierz dar wiecznej młodości, bądź wieczną wiosną, bądź szczęściem, powracającym wiecznie po dojrzaniu kłosów i owoców, po wichrach jesieni, po mrozach zimowych. Bądź na wieki tym, który wraca zawsze z wieńcem kwiatów polnych. Imię twoje, od szczęsnego onego powracania stałego, niechaj będzie Vertumnus!

Tak tedy urodziłem się, tak stałem się jednym z duchów światła, zdolnym przybierać wszystkie postacie, tak pozbyłem się wszelkich więzów ludzkiego swego pochodzenia, a jednak zostało mi ciało podobne ludzkiemu, tylko że przetworzone, przez potężne zaklęcie boga Sylwana, w świętym, wyszlachetniającym, materję wysubtelniającym ogniu. — I rosłem w lesie z faunami, opiekunami świerków i dębów, zwierząt i ptaków...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Na dochód Tow. pomocy naukowej dla kobiet Imienia Kraszewskiego w Krakowie, wygłosiła p. D-r Teodora Krajewska odczyt, który zgromadził licznych słuchaczy i spory dochód przyniósł instytucji. Treść odczytu osnuła prelegentka na życiu „Kobiety w Bosni.“ Wiele ciekawych szczegółów, danych statystycznych i zajmujących epizodów stanowiska kobiety, mianowicie mahometańskiej, dotyczących, zgromadziła pani Krajewska, popierając rzecz cyframi i wypadkami zaczerpniętymi z własnego lekaarskiego doświadczenia, pracując od roku 1893 w Dolnej Tużli jako rządowa doktorka na swej stałej posadzie. Przez czas swego urzędowania miała p. Krajewska w swej lekarskiej praktyce w Bosni 2,560 chorych, między tymi 1,182 Mahometan, (mężczyzn 64, kobiet 776, dzieci 342). Stosunek dzielnej i wytrwałej pracownicy do ludności tak nieoświeconej i zabobonnej jak w tamtych stronach jest tem obfitszym w dobre skutki, że niosąc pomoc chorym, zarazem udziela im i ich otoczeniu, duchowego, zdrowego światła i zadatki cywilizacyjnej.

— W Krakowie została założoną przez znaną rzeźbiarkę p. P. Certowicz: Szkoła rzeźbiarstwa i malarstwa dla kobiet. (Ulica Grobla 5). Piękny i odpowiedni lokal mieści sale specjalnie urządzone i liczne przybory potrzebne do lekcji rzeźby i malarstwa. Profesorem rysunków i malarstwa został artysta Wł. Tetmajer, dział rzeźby i kierunek całej szkoły spoczywa w umiejętnej ręce samej właścicielki zakładu p. Certowicz której prace nagradzane już były na wystawach w Warszawie, Lwowie i Berlinie. Tak więc szkoła ta otwarta od 26 Lutego b. r. zastępuje kobietom pragnącym się kształcić w sztuce zamknięte dotychczas studia w Krakowskiej Akademii sztuk pięknych.

— We Lwowie, z dniem 1 Marca rozpoczętym dostał kurs praktyczny gospodarstwa domowego dla kobiet przy szkole wydziałowej żeńskiej im. Kr. Jadwigi. Opłata miesięczna wynosi 2 zlr. Obiady wydawać będzie do domów prywatnych w abonamencie ta nowa szkoła gospodarstwa, a nauka dobrego gotowania, którą znać powinna każda kobieta bez wyjątku, zgromadzi niezawodnie liczny zastęp uczennic i stać się powinna w szkole *obowiązkową* jak inne przedmioty. Niema na świecie stanowiska i położenia socjalnego czy materyjalnego, któreby uwalniało kobietę od umiejętnego wykonywania domowych zajęć; począwszy od włościanki do największej pani, powinno się *umieć*: rozpalić ogień, ugotować obiad, uprać bieliznę i sprzątnąć w mieszkaniu. Można tego nie wykonywać, skoro położenie tego nie wymaga, ale umieć trzeba, bo inaczej wychowanie jest nie skończone, a owa brzydka granica niedoświadczenia i niezaradności bardzo bliska i szkodzi. Nie można być dobrą—panią domu, jeśli się w danym razie, nie umie być dobrą—sługą.

— P. Wanda Górska z Radomia, po odbyciu egzaminów w uniwersytecie petersburskim, otrzymała stopień lekarza dentysty i zamierza rozpocząć praktykę w swem rodzinnym mieście.

— W Paryżu, odbył się w Marcu uroczysty bankiet celem uczczenia 35 letniej pracy Klementyny Royer, filozofki, ekonomistki i autorki wielu dzieł i rozpraw z dziedziny filozofii, ekonomii i antropologii. Oprócz prac naukowych brała p. Royer żywy zawsze udział w ruchu kobiecym, urządziła kursa naukowe dla kobiet, uczestniczyła w stowarzyszeniach i t. p. Komitet, który urządził pierwsze takie uczczenie naukowej działalności kobiety we Francji składał się nietylko z kobiet lecz i z wybitnych mężów stanu i autorów, jak: T. Ribot, A. Naquet, Clovis Hugues, A. France, Rosny i w innych.

— Roboty włościanek naszych, jak hafty i wszelkiego rodzaju wyszycia na czepcach, rękawach, gorsetach i chustkach, zgromadzone zostaną i uporządkowane dla wystawienia ich jako

osobny dział ozdób do strojów ludowych krajowego wyrobu w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Będzie to zajmująca wystawa pracy ręcznej, gustu i pomysłu prostych wiejskich kobiet.

— W Belgradzie magistrat mianował pierwszą doktorkę miejską w osobie D-r p. Duriny Melniczówny.

— Wrocławski magistrat przedstawił radzie miejskiej tego miasta, wniosek założenia miejskiego gimnazjum żeńskiego, szczegóły programu i wykonania przekazując odnośnej sekcji, a Rada miejska wniosek ten uchwaliła po wyczerpującej dyskusji.

— Badeńskie Stowarzyszenie kobiet, zachęczone przez wielką księżną badeńską, założyło w Karlsruhe bibliotekę z której wysyłać będzie książki po całym kraju dla ułatwienia dobrego czytania ludności miejscowej. W każdej gminie wybrane zostaną osoby zaufane, które w wymianie książek pośredniczyć będą, a ta wędrowna biblioteka, już dziś, daje sposobność licznym, a niezamożnym czytelnikom korzystania z wyborowych dzieł naukowych i literackich. Przykład bardzo godny naśladowania, a nie trudny do wprowadzenia i gdzieindziej.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Na takim tle, o jakie 150 kroków od okrętu, ujrzałem cztery łodzie, zwolna płynące ku nam, a na wszystkie strony miotane falami. Dopiero teraz, patrząc na te łodzie, jak co chwila to zapadały się w głąb, tak, iż nikły chwilowo z oczu, to naraz wspinały się do góry, jakby podsadzane na grzbiecie jakiegoś olbrzymiego potwora, z którego natychmiast z fatalną szybkością ześlizgiwały się na dół, dopiero teraz, nabierało się należytego pojęcia o wielkości bałwanów. Pomimo czterech wiosel, miarowo poruszających się po bokach każdej łodzi, widzieliśmy, że, walcząc z falą, nadzwyczaj wolno posuwały się naprzód, jakby za każdym razem, gdy zrobiły trzy kroki naprzód, musiały robić dwa w tył. Z początku bawił mię ten widok, ale po chwili, kiedy sobie wyobraziłem, co się tam musiało dziać na tych czółnach, do których raz po raz woda dostawała się przez burt, przestałem się śmiać. Widziałem, że tu nie było żartów! Nie należało zapominać, że na tych łodziach, któremi bałwany podrzucały w tej chwili, jak skorupkami od jajek (bo nie chcę ich banalnie porównywać do łupinek od orzechów), że na tych łodziach byli nietylko wiosłujący przewoźnicy, ale i kobiety, a w tej liczbie i moja prześlizczona *vis à vis*. W końcu zaczynałem niepokoić się na seryo... Uspokoił mię dopiero dobry humor kapitana, który aż się brał za boki od śmiechu, ile razy łodzie podskakiwały bardziej, niż zwykle. W niegorszym humorze był dziobaty doktor okrętowy, który podobnie, jak kapitan, przypatrywał się „tej awanturze“ z pod czarnego kaptura gumowego płaszcza. Obok stał nasz *maitre d'hôtel*, okutany w jakiś szary pled, a za nim z podniesionymi kołnierkami od długich paltołów, stali dwaj służący okrętowi, również w doskonałych humorach, co mogłem powiedzieć i o trzech marynarzach, stojących przy spuszczonej schodach, a oczekujących na przybycie łodzi. To mię uspokoiło. Widocznie, że nie było niebezpieczeństwa, skoro ta przeprawa naszej kompanii wywoływała tylko śmiech i różne dowcipne uwagi, bądź ze strony kapitana, bądź ze strony służby. Skoro się śmieją, to nie musi być źle!... Tymczasem łodzie zbliżyły się o tyle, że mogłem rozpoznać wiosłujących przewoźników, którzy mieli rodzaj gumowych kapturów na głowach, a byli przepasani szerokiemi pasami z kory korkowej. To im nadawało pozór drama-

tyczności! Jednocześnie ci, których wieźli, jeżeli byli dramatyczni, to tylko w komicznym sensie. W pierwszej łodzi znajdowała się wesolą czwórka Francuzów, ale w tej chwili nie zasługiwała na miano wesolej, choć nie przestawała być czwórka. Zziębnięci, przemoczeni do nitki—bo wybrali się bez parasolów—zgarbieni, wyglądali jak zmokłe kury, a byli tak bledzi na twarzach, że robili wrażenie rannych. Widocznie, że ich trapiła morska choroba. I dziwna rzecz: oni, którym w żadnej chwili nie zbrakło konceptu, którzy swemi żartami i dowcipnemi uwagami bawili całe towarzystwo, teraz byli śmieszni przez to, że na ich twarzach malowała się jakaś bolesna powaga... W drugiej łodzi jechali państwo Stone, siedzący w takim porządku: na pierwszej ławeczce siedziały panienki, przemoczone do nitki, bo wiatr był tak silny, że choć miały parasolki (obszyte koronkami), nie mogły ich otworzyć ani utrzymać w ręku. Siedziały przytulone do siebie, w obcisłych sukienkach i mantylkach, które poprostu ociekały wodą (deszczową i morską). Obie były blade, z błędnym wyrazem w oczach. Dostrzegłem także, że miały wystraszony wyraz twarzy. Na drugiej ławce siedzieli państwo Stone: on trzymał parasol, którym wiatr targał gwałtownie, a ona, przechylona w tył, nawpół żywa z chustką w ręku, którą co moment przykładła do ust, opierała się na rękach swego cichego wielbiciela Francuza, który podtrzymując ją w biodrach, pochylony ku niej, tak, że się plecami opierała o jego ramię i piersi, do wszystkiego był podobny, tylko nie do młodszego Dumasa: mokre włosy zwisły mu, jak sumowi lub chińczykowi, a czarny filcowy kapelusz, naciągnięty na uszy, czynił go jeszcze komiczniejszym. Za nim, na ostatniej ławce, siedzieli nasi małowolni Anglicy, którzy w tej chwili z pewnością nie myśleli o szachach; obaj co chwila wychylali się za burt łodzi—co także czynił raz po raz p. Stone—a o ile zauważyłem, to były to chwile, w których ich co najmniej dręczyła czkawka, co mi przypominało ów dyabelski młyn Prusa, na którym „jeden pasażer cholery dostał.“ Tylko, że w tym wypadku nie jeden, ale dwóch pasażerów dostało cholery!... Na innych łodziach działo się mniej więcej to samo.

— No cóż, żałujesz pan, żeś pan nie pojechał z nimi razem? zapytał mię kapitan.

Oczywiście, że nie żałowałem. Za to żałowałem tych nieboraków, którzy tam borykali się z falami i morską chorobą, a którym te łodzie musiały się wydawać piekielnymi łodziemi Charona! Zwłaszcza było mi żal mojego *vis à vis*, z którego nie spuszczałem oka, a które mogłem obserwować coraz lepiej, w miarę, jak się łodzie zbliżały do okrętu, ku spuszczonej schodom.

Po chwili podpłynęła ku nim pierwsza łódź, ale choć na schodach stało dwóch marynarzy, którzy z polecenia kapitana mieli pomagać wysiadającym, to wysiadanie t. j. dostanie się z łodzi na schody nie było łatwym z powodu bałwanów. Należało skakać na schody w takiej chwili, kiedy bałwan podbił ku przodom czółna, a należało to czynić szybko i zręcznie, gdyż po takiej chwili, skoro się bałwan zapadał, łódź zapadała się razem z nim. Jednym słowem było to małe *salto mortale*, twardziej *mortale*, że wszyscy byli nawpół żywi, a tu im kazano skakać, jednym zręcznym susem wskakiwać na schody, chwycić się poręczy, etc., bo gdy się tego wszystkiego nie uczyni w jednym mgnieniu oka, traci się grunt pod nogami, łódź wysuwa się i zapada, a na jej miejsce rozdziawia się, jak potworna paszcza, głąb wodna. Oczywiście, że wysiadanie w takich warunkach, o ile było poprostu rozpaczliwym dla tych, co musieli wysiadać, którzy ledwo mogąc się utrzymać na nogach, osłabieni morską chorobą, musieli się z konieczności zdobywać na cyrkową zręczność, o tyle dla nas, którzyśmy się temu wszystkiemu przypatrywali z pokładu, posiadało sporo danych, ażeby się stać źródłem dobrego humoru. Swoją drogą zdarzały się chwile, że nam było żal niektórych „ofiar“ (bo na tę smutną nazwę zasługiwali wszyscy). Najzręczniejsz wskoczyły moje panienki, ale za to największy ambaras był z pa-

nią Stone, która przy tej okazji omal nie dostała spazmów. Naszym Francuzom także było nie do śmiechu, gdy im przyszło wskakiwać na schody, przy czem jeden o mało co nie wpadł do morza, a tylko go w porę przytrzymał jeden z majtków. Pan Stone także nie okazał się bardzo dobrym ani bardzo odważnym gimnastykiem, a nasz Francuz był taki zabawny, kiedy się nie mógł zdecydować na ryzykowny skok z łodzi, że Dumas młodszy z pewnością by się wyparł wszelkiego podobieństwa z nim, a pani Stone—która go w tej chwili nie widziała na szczęście—z wątpiła by o jego brawurze. Jeszcze zabawniejsi byli nasi małowolni Anglicy, którzy się okazali tak niezgrabni, że pod tym względem przeszli wszystkich.

Tymczasem zaczęło się zciemniać coraz bardziej, a deszcz nie ustawał. Dlatego, nie doczekawszy się nawet, aż wszyscy wysiądą z czółen, wróciłem do kajuty. Jakkolwiek przez cały czas stałem w palcie i pod parasolem, to jednak byłem tak przemoczony, że musiałem się przebrać, a tak zziębnięty, że sobie kazałem jeszcze do mej kabiny przynieść *un grand petit ver de cognac*.

Zmieniwszy wierzchnie ubranie, udałem się do sali jadalnej już oświetlonej *à giorno*, a że chwiebą nie ustawała, owszem wzmagała się nieustannie, więc położyłem się na jednej z pasowych sof aksamitnych, rozglądając się po pustej sali, a zwłaszcza przypatrując się nakrytemu stołowi, który poprostu robił wrażenie instrumentu muzycznego: pomimo drewnianych przegródek, uniemożliwiających zbytnie przesuwania się talerzy, widełców, nożów, łyżek, solniczek, szklanek, butelek, karafek, etc. wszystko to jednak, w miarę kołysania się stołu, pozostawało w ciągłym ruchu, przesuwaną się to w jedną to w drugą stronę; ztąd różne dźwięki, które bądź co bądź były bardzo oryginalną uwerturą do obiadu.

Obiad miał się odbyć za chwilę. Już było po szóstej: czekano tylko, aż ci, co powrócili z Gibraltaru, przebiorą się i odpoczną po swej dramatycznej przeprawie. Jakoż zaczęto się schodzić powoli. Pierwsi zjawili się Francuzi, którzy już zdolali odzyskać humor, choć wszyscy byli bledzi, jak po chorobie. Nie dziwnego! Wszak byli po chorobie—morskiej! Zapytani, jak się miewają, zaczęli mi wieszować, że nie zrobił takiego głupstwa, jak oni, którzy w Gibraltarze nie widzieli, nie literalnie, a to, co widzieli, nie wynagradza takiego powrotu. Po nich przyszedł ich ziomek o twarzy Dumasa, ale przyszedł tak bładzi, że wyglądał jak Dumas na łożu śmierci. Zapytany przezemnie, jakże się czuje, zaczął kłąć, na czem świat stoi. Potem przyszło jeszcze kilka osób, ale wszyscy mieli strasznie powarzone miny.

Misses Stone przyszły ostatnie, już w chwili, kiedyśmy zasiedli do stołu, a służący roznosili zupę z homarów. Pani Stone nie przyszła wcale, czem zresztą nie różniła się i od kilku innych pań, które zamiast z apetytem powróciły z migreną. Czy i moi sąsiedzi—Anglicy powrócili z migreną? Nie wiem, wiem tylko, że ich miejsca pozostały puste przez cały czas obiadu. Tymczasem ja rozmawiałem z mojem *vis à vis* i jej siostrą... Obie były bledziutkie i mizerne, ale im z tem było do twarzy, gdyż wyglądały prawie nie ziemsko, tak były przejrzyste i eteryczne. Zwłaszcza moje *vis à vis* robiło wrażenie anioła z alabastru. Swoją drogą była prześliczna, zachwycająca, jakaś Grottgerowska. Oczywiście, że nie rozmawialiśmy o czem innym, tylko o Gibraltarze, którym się wszyscy rozcierali, o powrocie ztamtąd, o wskakiwaniu na schody okrętowe, etc., a wszyscy mi wieszowali mego szczęśliwego instynktu, który mi w osta-

tniej chwili poradził nie jechać. Nawet moje urocze *vis à vis* podzielało tę ogólną opinię, choć nie tała, że od pierwszej chwili, kiedy spostrzegła, że mnie niema na łódce, nie mogła zrozumieć podobnego braku ciekawości... Mimowoli wyrosłem na bohatera roztropności! Tymczasem podawano potrawy, ale nie wszyscy mogli się chwalić apetytem. Ostatecznie był to obiad na huśtawce, co nie wpływało na zaostrzenie apetytu. Wyjątek stanowił kapitan ze swymi towarzyszami, którzy, jako przyzwyczajeni do podobnej balansady, dawali jak najlepszy przykład, gdy chodziło o zachętę do spożywania olbrzymich porcji każdej potrawy. A jednak przykro mi skutkowało. Wszyscy jedli „długimi zębami“, gdyż wszystkich zaczynała dręczyć niepewność, żali to, co zjedzą, zdołają utrzymać w żołądku... Ta niepewność malowała się na wszystkich twarzach, nie wyłączając idealnej twarzyzki mego *vis à vis*.

Po obiedzie dowiedzieliśmy się od jednego ze służących, że na dworze wypogadza się, że deszcz ustał i widać gwiazdy, uchwalono, więc, stosując się do życzełwicy rady kapitana, mały spacer po pokładzie. Chodziło o to głównie, żeby się nieco orzeźwić świeżem powietrzem, co mogło, tylko pomyślnie wpłynąć na ogólny stan całego towarzystwa. O, bo był to stan oplakany! Wszystkich dręczył nie moralny ale morski *Katzenjammer*, wszyscy zdawali się mieć to samo uczucie, co ja, mianowicie: że cały obiad zatrzymał się pod gardłem, gdzie „stanąwszy kolkiem“, bardziej zdaje się być skłonny do wydostania się na zewnątrz, aniżeli zgodnie ze swem przeznaczeniem powędrować do żołądka... Zważywszy ten wzgląd, nie można się dziwić, żeśmy pożądali świeżego powietrza, w którym wszyscy—nie przyznając się do tego otwarcie—widzieliśmy deskę zbawienia. Jeżeli świeże powietrze nie pomoże, wtedy... Co mogło nastąpić wtedy, o tem nie chcieliśmy myśleć wcale, lub wzdrygaliśmy się na samą myśl o tem.

Na pokładzie spotkała nas niespodzianka, a tą niespodzianką był nadzwyczaj oryginalny widok na skałę Gibraltaru, której olbrzymia ściana, czerniąca się w głębi, była pokryta setkami różnokolorowych światełek. Były to sygnały forteczne, które, zrozumiałe dla miejscowej załogi wojskowej, dla nas miały tylko wartość przesłiznego *coup d'oeil*: poprostu miało się wrażenie, że to nie różnokolorowe latarki, ale drogie kamienie iskrzą się na jakiejś fantastycznej skale z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. „Światła te, mówił kapitan, który nam towarzyszył na pokład, to najpiękniejsza rzecz, jaka jest do widzenia w Gibraltarze! Tem piękniejsza, że na to, aby ją zobaczyć, nie potrzeba przeprować się na ląd.“ Godząc się na powyższe zdanie kapitana, rozglądaliśmy się dokoła, bo rzeczywiście widok, jako panorama, był niezwykły. Niebo, z którego wiatr pospędzał chmury, było nadzwyczaj głębokie i ciemne, zrzadka usiane gwiazdami; kończyła się sciana Gibraltaru, królująca nad tym pejzażem nocnym, robiła wrażenie czarnego aksamitu, na który ktoś rozsypał mnóstwo rubinów, topazów, szafirów i szmaragdów; dokoła portu, w którym gdzieś bielilo się światło lamp elektrycznych, biegł gęsty różaniec latarni gazowych, z których bliższe odbijały się w morzu, podobne do mieniących się słupów ognistych; w wylocie portu, na prawo, świeciła się wielka latarnia morska; a wszystko to, w powietrzu czystem po deszczu, uderzało dziwnie wyraźnymi, ostro odcinającymi się konturami. Dokoła szumiało morze, które się uspokajało z wolna, a że go nie było widać z powodu ciemności, panującej w najbliższym obrębie, więc brała ochota, ażeby ten tajemniczy, a monotony szum

nazwać mistycznym. Na pokładzie, który nie przestawał robić wrażenia ruchomej podłogi, również było ciemno. Tylko na czarnych masztach paliło się kilka czerwonych i zielonych latarek, a nad kominami unosiło się trochę isker, niby dwa małe stadka złotych komarów. Z dołu, ze środka okrętu, dochodziło miarowe sapanie maszyny.

Na takim tle toczyła się rozmowa, podczas której, jak się wyraził nasz doktor, używaliśmy „inhalacji świeżem powietrzem.“ Z początku zdarzały się dość długie chwile milczenia, powoli jednak, dzięki zbawiennemu wpływowi tej „inhalacji“, humory zaczęły się poprawiać i ożywiać stopniowo: świeże powietrze robiło swoje: złowrogie widmo morskiej choroby, które z początku straszło wszystkich—nie wyłączając mnie—zaczęło się roztopiać w ciemnościach, aż w końcu całkiem znikło z przed naszych oczów. Chłodny wiatr, wiejący od strony morza, muskał policzki, a wciągany w płuca, rozpraszał poprzednią ociepalszą umysłową.

Tak upłynęła nam godzina, po której, nie doczekawszy się wschodu księżyca, mającego wschodzić o 10-ej, zeszliśmy do sali jadalnej, na herbatę.

(Dalszy ciąg „Malaga“ nastąpi).

MYŚLI.

Bóg jest cierpliwy, ponieważ jest wieczny.

Sw. Augustyn.

Nie ma ludzi bardziej przykrych i skłonniejszych do gniewu niż ci, których konieczność zmusza, być łagodnymi na pozór.

Vaurenargues.

Bal dzisiejszy taki, jakim go uczyniły przyjęte zwyczaje, przestał być zupełnie przyjemną rozrywką:—przygotowania do niego są—pracą, zabawą—trudem, a rezultat—niebezpieczeństwem.

Horacy Raisson.

Lepiej rozwiązać niż przeciąć.

G. Meunier.

Kto nie umie być skrytym, nie umie panować

Zasada Ludwika XI.

Pokonywałem ludzi i rzeczy, ukazując im zawsze twarz wesołą.

Lesseps.

Piękną zaprawdę nauką jest nauka obcowania, jest ona niejako wdziękiem, pięknością, pojednawczą pierwszych kroków towarzyskości i poufałości.

Montaigne.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 9 powieści p. t. *Taquisara*, przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: Edward Jelinek, przez P. Wł. B.—Fragment, A. Langego. — Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Z Ameryki, przez D. Z.—Juliusz Zeyer. *Vertumnus i Pomona*. — Kronika działalności kobiecej. — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Taquisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkusz 9. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.